

Karuzela

Od czasu wywiadu filmowego z Siegfriedem Muellerem zazdrościmy telewizji NRD; był to bowiem majstersztyk w naszych warunkach niepowtarzalny. Polska telewizja wywiadów takich przeprowadzać nie może, może jednak i powinna stosować inne metody w tropieniu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Od kilku lat specjalizuje się w takich programach wrocławski ośrodek telewizyjny, ostatnio ma do zanotowania podobny program Warszawa. Oczywiście udało mu do atrakcyjności „Uśmiechniętego mężczyzny”, ale „Portret pewnego doktora”, opracowany przez Mirosława Azembskiego, w którym wziął udział z ramienia Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce dr Czesław Pilichowski, stanowił niewątpliwie najmocniejszy punkt w programie publicystycznym ubiegłego tygodnia. „Pewien doktor”, to Hans Kohnert, przywódca przedwojennej „V kolumny” w Polsce, pośredni sprawca dywersji na tyłach oddziałów polskich, walczących we wrześniu 1939, pośredni, a może i bezpośredni sprawca bydgoskiej „Krwawej niedzieli” i śmierci 20 tysięcy Polaków na Pomorzu. Hans Kohnert żyje do tej pory i działa w tzw. ziomkostwie „Westpreussen” w NRF. Telewizja warszawska nie ograniczyła się przy tym do sumiennej dokumentacji, ale poszła z kamerami śladem przedwojennej działalności dr Kohnerta. Gdyby tak jeszcze można było pojąć z kamerą śladem jego obecnej działalności!

KAMEROM telewizyjnym czas opuścić studia. Pogoda sprzyja. Codziennie rano widzę przy ulicy Moniuszki w Warszawie, gdzie znajduje się boczne wejście do gmachu telewizji, zwyczajny

rozgardiasz, jak zwykle przed podróżą: ładuje się na samochody kamery, reflektory, kable. I oto oko kamery rejestruje rzeczy zupełnie nowe. Nie zawsze jest tam, gdzie powinna być w danym momencie, czasem zbyt blisko, czasem zbyt daleko; czasem zbytnio tłumsi ją i przysłania scenariusz; marzę o chwili, kiedy kamerzyści staną się po prostu dziennikarzami, po trochu artystami; a w ogóle proponowałbym puszczanie co dzień na miasto, jeśli nie w Polskę, kilku ludzi z kamerami, niech sobie chodzą i patrzają, może coś się zdarzy? Może sfilmują kradzież kolumn marmurowych z pałacu Kronenbergów? Może pierwszych lokatorów w ostatnim wysokociściorcu na Ścianie Wschodniej?

W programie Kolińskiego „Dobry wieczór, jak minął dzień” — a nie omijam prawie żadnego z programów tego cyklu, gdyż wydają mi się bardzo dobre — reporterzy podjęli temat drastyczny, zwłaszcza jak na nasze stosunki; był to temat bardzo polski — czy opłaca się dobrze pracować, czy jest to właściwie oceniane? Większość zapytanych twierdziła, że warto pracować dobrze, ale byli też i tacy, którzy z przekonaniem mówili, że taka gorliwość nie zawsze spotyka się z aplauzem koleżków. Nudniej wypadły już wypowiedzi dyrektorów, którzy często nie orientowali się, o kim mowa, a jeszcze nudniej ugrzeźnione dusery kolegów Dobrze Pracującego. Także i córki Dobrze Pracującego. Nie spodziewajmy się uznania w oczach dzieci, jak długo nie będziemy dysponowali przynajmniej służbą „wołga”.

Jeśli już jednak kamery ruszają w świat, to najbardziej w czasie wszelkich turniejów miast. Jest to impreza faktycznie gigantyczna i dobrze, że po zakopiańskiej wymianie do-

świadczeń transmitowano ją również do Związku Radzieckiego. Tym razem telewizja i Marzyński stanęli dosłownie na głowie, mobilizując nie tylko władze powiatowe do bitwy morskiej na dmuchanych materacach, ale także Marynarke Wojenną, Wojska Ochrony Pogranicza i wcale się nie zdziwili, jeśli następny turniej miast prowadzić będzie Marzyński z pokładu sztucznego satelity. Rozrzutność pomysłów nie szła tu wcale w parze z jakością naszej techniki TV, ale widowisko było przednie i zaangażowano do tej szlachetnej kampanii Kołobrzegu (nie „Kołobrzega”, jak ustawicznie mówili reporterzy TV) i Swinoujścia pół Bałtyku. I miały swój wdzięk nawet drobne niedociągnięcia, zupełnie zresztą zrozumiałe, gdyż wyczuwało się spontaniczność i rzeczywistość całej zabawy o wcale niebiałym podłożu emocjonalnym i gospodarczym. Trochę zabrakło finału, to znaczy owych tradycyjnych już od dziesięciu teleturniejów przemówień ojców miasta i powiatu, owego rozdziału nagród, wiwatujące „tłumy” wypadły raczej mizernie i ciagle pokazywano nam trzy transparenty i pięć tych samych twarzy, ale może zabrakło kamery? Wszystko się zdarza. W każdym razie imponujący rozmach imprezy nie znalazł pokwitowania w masowości całej zabawy; była to rzecz dla telewizji, a przyzwyczajaliśmy się już bawić razem z mieszkańcami obu występujących miast.

Gorzej, gdy w stranki stoją poważni panowie, cieszący się ogólnym szacunkiem i rzeczywistością, która się zawzięcie nie temat, czy film jest literaturą naszych czasów, czy zastąpił powieść, czy też jest zupełnie odrębną formą sztuki? Dyskusja była rzeczywistością ognia — mam na myśli ostatni program „NA WIELKIM EKRANIE”, brał w niej przecież udział prokurator z ostatniego „Plebiscytu Archimedesa”, ale trik z tym, że dyskutanci rzekomo nie wiedzą, iż są

akurat na wizi, przypomina grę w czarnego luda. Niec więc już nie udają, niech klęć się sprawda, nie zwracając uwagi na kamerę TV. Ludziom tak doświadczonym, jak Sandauer, Adamski czy Kalużyński może się to udać, o ile oczywiście nie będą ponadto grałli. A zdaje się, że we wspomnianym wypadku Rubikon został mimo wszystko przekroczony.

„Pegaz” natomiast swoich tradycyjnych form nie przekracza i wyduje się, że czyni słusznie. Może za dużo uwagi zwraca się tu na teatr i plastykę, ale zawsze budzi szacunek niezawisłość sądów. Otóż Lasotta pierwszy w telewizji postawił znak zaprzęta przy decyzjach jury festiwalu opolskiego, przytaczając piękną piosenkę Sipińskiej i Korniszewskiej „Zapomniałam”, która stanie się przebojem na sto dwa. Trudno jednak tę samą odwagę przyznać realizatorom programu, który nosił tytuł „Olsztyńscy laureaci”. Prawda, że estrada olsztyńska i rzeszowska otrzymały wyróżnienia w Olsztynie, decyzja ta podyktowana była jednak różnymi względami. Prawda, że zdobywcy pierwszych miejsc — to znani powszechnie w Polsce wykonawcy estradowi — pisaliśmy już o tym w „Trybunie Ludu”; prawda również, że Olsztyn i Rzeszów trzeba było w jakiś sposób za ich odwagę, samodzielność i zasługi uhonorować, czy jednak nie za wcześniej na ogólnopolski program, na telewizję? Ani „Tatusz poszedł w Polskę”, ani „Wiwat XX wiek” nie reprezentował takich wartości, aby można je było bez szminki transmitować na wszystkie telewizory w kraju.

Czego nie można powiedzieć o zabawnym „Teatryku Eryka Lipińskiego”, według scenariusza Stefani Grodzieńskiej i reżyserii Mariana Jonkajtysa, który zresztą stworzył w tym krótkim widowisku kilka znakomitych sylwetek. Gdyby tylko cały ów teatrzyk utrzymany był w tonie spilkowych „Zefirków historii!” Niestety, romantyzm nie zawsze znaczy, że poziom jest wyrównany. W każdym razie „Teatrzyk Eryka Lipińskiego” jest dalszym udanym ogniwem w prezentacji najwybitniejszych naszych rysowników, satyryków i znakomitych gawędziarzy.

Teatr TV wchodzi w sezon ogórkowy; wzorem lat ubiegłych nie będziemy recenzować poszczególnych spektakli IV Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych, wychodząc z założenia, że wiele tych spektakli było już omawianych na łamach naszego pisma z okazji ich premier scenicznych — wydaje się natomiast, że właściwiej będzie zająć się problemem adaptacji telewizyjnych sztuk scenicznych po zakończeniu festiwalu. Jedynym spektaklem „żywym” był katowicki „DRAMAT NA POLOWANIU” według Czechowa, w tłumaczeniu, adaptacji i reżyserii Lidii Zamkow, gdzie doskonałą kreację stworzył Leszek Herdegen w roli szlachetnego i autora powieści, choć pozostałe role męskie obsadzone były również bezbłędnie (Józef Para, Andrzej Buszewicz, Mieczysław Jasiecki, Wojciech Ziętarski, Stanisław Brudny, Piotr Polowski, Jerzy Rogowski). Zamkow przeciągnęła trochę spektakl, dłużył się on w ostatnich partiach, ale był jedną z lepszych premier katowickiego teatru TV.

W lipcu i sierpniu telewizja polska przeżywa zazwyczaj — mimo corocznych zapewnień w tym względzie — okres niebezpieczny; zalew niałości i nudy. Wszystkim należy się prawo odpoczynku, ale czy nie warto jednak skorzystać z owych wspaniałych telerecordingów i ampeksów, o których tylekroć nas informowano, że są, że pomogą, że uratują? Tymczasem wgląd w program najbliższych tygodni nie nastraja optymistycznie, a mniemanie, że ludzie w lecie mniej oglądają telewizję, jest z gruntu błędne; oglądają ją wówczas setki tysięcy potencjalnych widzów, tych, którzy aparatów jeszcze nie mają i których program oglądany we wczesowej świetlicy do telewizji zachęci, albo zniechęci.

„Polityka” w jednym z ostatnich numerów doniosła o kierowniku karuzeli w Słupowie, który po libacji ze swoimi znajomymi udał się do swojej „imprezy”, wsadził gości na krzeselka, po czym karuzelę uruchomił i usnął. Kiedy rano się obudził, 11 mężczyzn o twarzach białych jak opłatki i już nieprzytomnych krążyło w kółko w szalonym tempie.

Bardzo — jak mawiał kapral Marchewka — nie lubimy, kiedy nas tak się wsadzi na fotele przed telewizorami i usnie na dwa miesiące.

LESZEK GOLIŃSKI

P.S. Bardzo przepraszamy red. Ambraszewicza, że cykl „Ludzie i zdarzenia” przypisano komu innemu.